

Życie nie zawsze usłane różami

Opowieść pani Marianny Piwowarczyk

Jest w Zalesiu Górnym ulica Zaczarowanej Róży. Przy tej ulicy stoi dom otoczony ogrodem pełnym kwiatów. Właścicielką ogrodu jest leciwa pani Marianna, która zamieszkała tu ponad pięćdziesiąt lat temu i to jej ulica zawdzięcza tę piękną nazwę.

Przyjechaliśmy do Zalesia Górnego na początku lat 70-tych i wybraliśmy to miejsce, gdzie teraz mieszkamy. W tym miejscu jeszcze nawet prawdziwej ulicy nie było, ale ja już wiedziałam, że tu jest moje miejsce, tu będzie mój dom, tu wszędzie będą kwiaty, a przede wszystkim – róże. Kiedy o tym mówiłam, nikt mi nie wierzył. Odpowiadałam wtedy: – Będą! Róże będą rosły, bo ja je zaczaruję!

Rozpoczęliśmy budowę domu. Któregoś dnia z mężem przyjechaliśmy na budowę i co widzimy? Jest tabliczka „ulica Zaczarowanej Róży”. I taką nazwę mamy do dziś.

Dokoła domu były chaszcze i młody las. Trzeba było to wykarczować. Napracowałam się bardzo, ale było warto. To była leśna ziemia, ale dobra. Róże przywiozłam z Puław. Dużo ich było. I niskie, i wysokie. Te wysokie były przepiękne. Tworzyły różane aleje.

Siałam też inne kwiaty, specjalne, takie, co to na grządce już były suche. Wyglądały jak małe różyczki. Farbowałam je, a później suszyłam w piekarniku. Z nich robiłam kompozycje kwiatowe na zamówienia zza granicy. Miałam duże zamówienia na palmy i bukietiki z suchych kwiatów. Różne zestawy kolorów, różne kształty. Robiłam też takie bonzaje. Robiło się je z odpowiednio przyciętych skrzypów i kwiatów żarnowca. Zrobiłam tego wszystkiego i sprzedawałam mnóstwo. Kwiaty towarzyszyły mi przez całe życie.

Już od lat nie sprzedaje pani swoich „kwiatowych” wyrobów, a obdarowuje ludzi kwiatami i sadzonkami ze swego ogrodu.

Musiałam zrezygnować z pracy zarobkowej, zmienić tryb życia – ze względu na wiek, ale przede wszystkim ze względu na zdrowie. Ciężko chorowałam, leczono mnie naświetlaniem, mam chory kręgosłup i jeszcze parę innych chorób, ale cały czas nie poddaję się.

Sąsiedzi nie wierzą w moje choroby, bo ciągle widzą mnie w ogrodzie. Gdy jestem w ogrodzie, nie myślę o swoich chorobach. Staram się nie poddawać i znajdować sposoby na moje słabości.

Pokochała pani róże, zaczarowała je i ochrzciła zalesiańską ulicę, ale życie pani usłane różami nie było...

Oj, nie było. Jak miałam pięć lat, poumierał mi rodzice i wychowywałam się na plebanii, gdzie proboszczem był mój wujek. Wszyscy bra-



cia mojej mamy byli zaangażowani w walkę z okupantem. Jednemu z nich postawiono nawet pomnik w Konstancynie, a drugi – ksiądz – zginął w Oświęcimiu. Jak wybuchła wojna miałam zaledwie trzynaście lat. Przenosiłam różne dokumenty, papiery, nawet nie wiedziałam, jak niebezpieczne było to zajęcie.

Jeśli tylko mogła pani pomóc komukolwiek, pomagała pani...

Tak, na plebanii nauczono mnie, że ludziom należy pomagać. Mogłabym opowiedzieć wiele historii o tym, a to jedna z nich.

Braliśmy nabiał od pewnego gospodarza – masło, sery... i tak żeśmy się zaprzyjaźnili.

Gospodyni poprosiła mnie, a nawet błagała ze łzami w oczach, żebym pomogła namówić jej męża, aby pozwolił synowi uczyć się. Nie chciała, żeby chłopak został na gospodarce, czego chciał jej mąż. Jakimś cudem udało mi się przekonać jej męża i wzięłam chłopca do siebie. Mieszkał z moimi dziećmi. Opiekowałam się nim, prałam, gotowałam. Traktowałam jak syna.

Skończył technikum, a potem studia w Białymstoku. Teraz ja mieszkam w Zalesiu, a on w Stanach Zjednoczonych. Píše do mnie i dzwoni regularnie. Tu jest od niego list na moje osiemdziesiąte urodziny. Oto jego fragment:

„Wielce szanowna i wielce ukochana Mamo, na Twoje spracowane, lecz czułe ręce przesyłam (...) piękno tych kwiatów przez Panią wypiełgnowanych, jak i wszystkich kwiatów na całym świecie. Za Twoją mądrą i piękną kobiecość i boską duszę oraz życzliwe światu serduszek. Bądź z nami i żyj dalsze 80 lat. Bądź nam, jak dotąd przystań, ucieczką i nadzieją. Twój kochający syn samozwaniec – Leszek”.

Takie moje życie było – pomagać ludziom, pomagać i pomagać.

Z Panią Marianną Piwowarczyk rozmawiała
Mirka Jaworska i Ela Nowińska

185 lecie najstarszej części Zalesia Górnego, Domanki

*Aby mierzyć drogę przyszłą
trzeba wiedzieć skąd się przyszło.*

C. K. Norwid

Czy Domanka to Zapole-Leśnik?

W książce pt. „Zalesie Górne 1930–2000”, wydanej z okazji obchodów 70-lecia Zalesia Górnego, przygotowanej przez Grzegorza Frysztyna i ks. Wiktora Ojrzyńskiego, a opracowanej przez Andrzeja Swata, jest fragment dotyczący Domanki. „Dzieje Domanki” szczegółowo opracowała p. Helena Krzemińska-Durnaś. Używa tu nazwy Zapole-Leśnik jako poprzednika Domanki. Powołuje się na dokumenty: mapy, akta stanu cywilnego parafii Jazgarzew oraz Księgę Dóbr Ziemi Wólki Kozodawskiej. Otóż po dokładnym przejrzeniu wszystkich akt parafii Jazgarzew muszę sprostować tę informację. Pierwsza wzmianka o miejscu zwanym Dumanka, pojawia się w dokumentach zwanych Aktami Stanu Cywilnego Parafii Rzymskokatolickiej w Jazgarzewie Kościoła parafialnego, pw. św. Rocha i jest to akt zgonu dziecka, Rozalii Krzanowskiej, nr aktu Z 112/1845. Ojciec zmarłej dziewczynki był „profesji mularskiej” (dziś murarz). Od tego czasu w aktach parafii Jazgarzew pojawia się już tylko nazwa Domanka. Sugerowana przez p. Krzemińską-Durnaś nazwa Zapole-Leśnik lub Leśne nie występuje w żadnym miejscu w księgach parafialnych. Znajdujemy w nich nazwę Zapole (po raz pierwszy w 1833 r.), ale odnosi się ona do leśniczówki znajdującej się w okolicy drogi do Jastrzębia. Potwierdza to miejsce mapa z XIX wieku (Mapster, Topograficzna Karta Królestwa Polskiego. Mapa Kwaternmistrzostwa). Dowodem może też być fakt, że świadkowie i rodzice chrzestni w aktach dotyczących Zapola byli zazwyczaj z Pilawy, Żabieńca i Jastrzębia. Natomiast świadkowie i chrzestni w aktach z Domanki, to albo mieszkańcy Domanki, albo też Jesówki i Jazgarzewa. Znaczący historyk naszych terenów, archiwista i historyk, dr Włodzimierz Bagiński potwierdził fakt, że nasza gajówka była w dokumentach nazwana Domanka, a jej nazwa zapewne powstała od nazwiska właściciela dóbr, Wincentego Domańskiego.

W naszej lokalnej gazecie „Gazeta Sołecka Przystanek Zalesie”, Rok IV, No 8/2011 (34), Zalesie Górne, jest następujący fragment, dotyczący Domanki.

„Teren ówczesnej Domanki należał do dóbr ziemskich Wólki Kozodawskiej (ob. Wólka Kozodawska). Dobra te w 1836 r. kupił od Ludwika Halperta Wincenty Domański. Na skrzyżowaniu kilku dróg z sąsiednich wsi i gościńca do Piaseczna, obok istniejącej gajówki, nazywanej Zapole-Leśnik, wybudowa-

wał karczmę Domanka. (A więc i tu zostaje użyta błędna nazwa).

Powstała wokół karczmy osada została nazwana również Domanką. Ostatecznie nazwę wsi Domanka usankcjonował Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego, t. II z 1881 r., a rok 1836 został przyjęty jako umowna data powstania wsi (nie znalazłam potwierdzenia).

W pierwszym okresie rozwój nastąpił po wybudowaniu karczmy i sprowadzeniu kolonistów, ok. 1850 r. obok gajówki mieszkało 10 rodzin. W czasie powstania styczniowego w 1863 r. karczma w Domance była punktem kontaktowym między Warszawą a oddziałami powstańczymi, rozlokowanymi w okolicznych lasach. Kryzys agrarny z 1884 r. i spadek cen płodów rolnych spowodował, że Domanka zaczęła się wydłubiać. Dopiero od roku 1889, po zbudowaniu kolejki z Warszawy do Piaseczna, następuje powolny rozwój Domanki. Na przełomie wieków XIX i XX wzdłuż ulicy Piaseczyńskiej stały tylko 4 domy. W kolejnym okresie, po 1930 roku i parcelacji terenu, na którym powstało Zalesie Górne, nastąpił ponowny rozwój Domanki, a mieszkańcy znaleźli zatrudnienie przy budowie domów i powstającej linii kolejowej”.

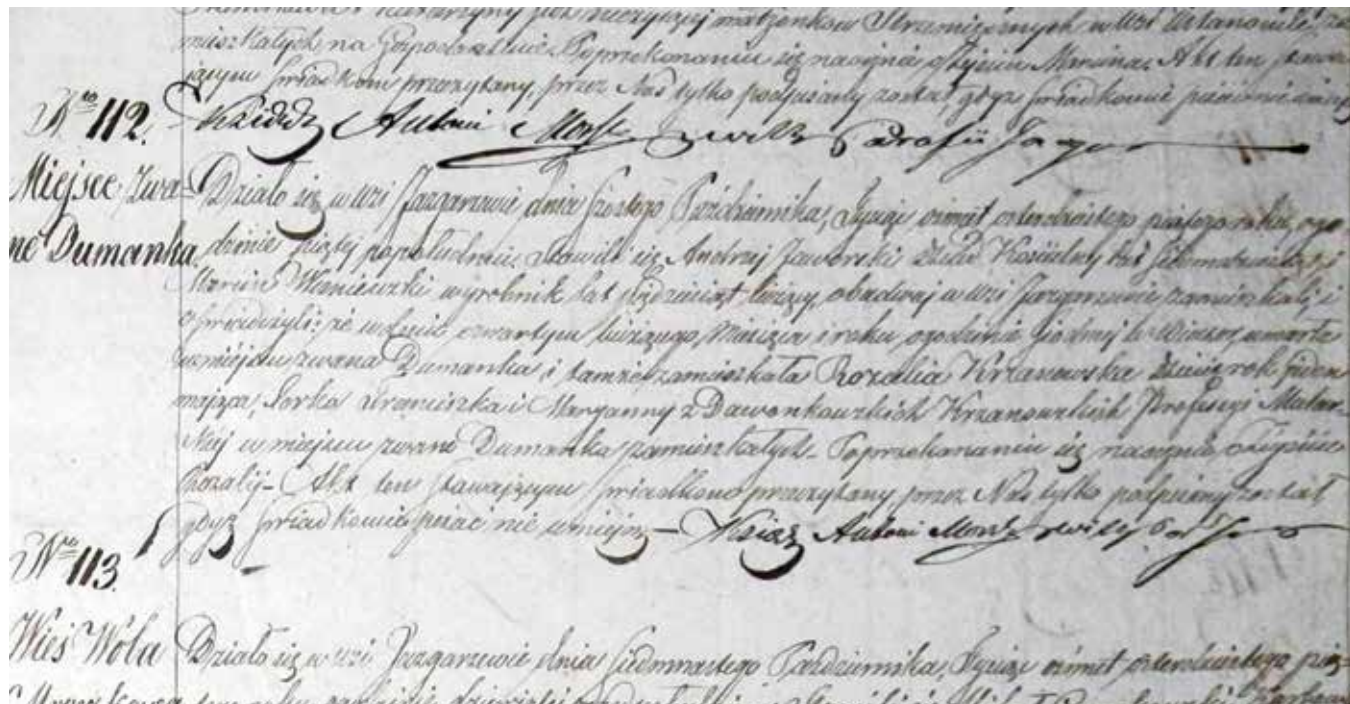
Autor tego tekstu czerpał wiadomości, dotyczące mieszkańców Domanki z książki wydanej na 70-lecie Zalesia Górnego i on również powielił błędną nazwę. Moje kilkuletnie doświadczenie genealogiczne skłoniło mnie do przejrzenia wszystkich aktów od 1936 r. do 1921, odnalezienie zapisów dotyczących Domanki i spisanie ówczesnych mieszkańców. Oczywiście, ten spis nie pokaże nam wszystkich, którzy mogli zamieszkiwać czasowo w Domance, a jest jedynie pisanym świadectwem urodzin, ślubów i zgonów mieszkańców w ciągu tych 176 lat. W aktach możemy wyczytać wiele cennych wiadomości: ich wiek i zawód, kogo powoływali na świadków i chrzestnych (rodzinę czy sąsiadów), a także z jakich wsi pochodzili. Społeczństwo Domanki było małe, więc często świadczyli sobie nawzajem te przysługi.

Przez pierwsze lata w Domance niewiele się działo. Jak wspominałam, pierwszy zapis jest zgonem w 1845 r. córki mularza Rozalii Krzanowskiej, „1 rok mającej”. W 1848 r. zapisano zgon rekruta przechodzącego, Alexego Pacholczyka l. 20, w 1852 roku urodziny Alexandra Bielewicz i Magdaleny Rubiś. W 1858 roku odbył się ślub kawalera, gajowego Szymona Broszko l. 43, z wdową Petronelą z Uczków Maciejewską l. 36. W ciągu następnych dziesięciu lat urodziło się troje dzieci: w 1861 urodziny i zgon Julianny Broszko, w 1862 urodziny Jana Kazany, i w 1869 roku urodziny Marianny Kaszyńskiej. W następnym dziesięcioleciu podobnie: w 1872 roku urodziła się Zofia Helena Grzęda, w 1874 zmarło dziecko Piotr Jan Majewski, w 1877 urodził się Filip Zacharski. W 1882 Franci-

HISTORIE ODNALEZIONE, edycja czwarta, grudzień 2021

Projekt sfinansowany ze środków gminy Piaseczno

Redakcji: Magda Mikołajczak-Olszewska, Jolanta Jarosz-Hryniewicz, Mirka Jaworska, Ewa Kamińska, Jadwiga Kuźmińska, Barbara Migaj, Ela Nowińska, Nina Wierzbicka



szek Rechnio, w 1889 Marcin Zaręba, w 1892 Walenty Matulka. Przez następne 15 lat nie ma żadnych danych w aktach kościelnych i dopiero w 1907 rodzi się Józef Sochański i Bolesław Złotki. W 1908 roku na świat przychodzi syn leśnika, Aleksander Zawadzki, w 1908 umiera, u Balbiny Sochańskiej, Kazimierz Rosiński, dziecko wzięte na wychowanie ze Szpitala Dzieciątka Jezus. W 1909 rodzi się Stanisława Ziembicka i Antoni Sochański, oraz martwo urodzona dziewczynka, córka Jana Welk. W 1911 roku zmarł kamieniarz Franciszek Guszowski, l. 68, pozostawiając wdowę Mariannę z Augustyniaków. W 1912 rodzi się Anna Ziembicka i Tadeusz Zawadzki. W tym samym roku umiera dziecko Antoni Sochański l. 3 i pół i Aleksander Zawadzki l. 4. W 1913 urodziła się Stefania Zawadzka i zostało zawarte religijne małżeństwo pomiędzy żołnierzem rezerwy Edwardem Karolem Lidke, wyrobnikiem l. 25 i Dorotą Ostrowską l. 22. W 1915 urodziła się Wanda Ziembicka i zmarła Władysława Zawadzka, l. 13, a także Marianna Fukowska z d. Kowalska, żona wyrobnika, l. 54. W 1916 roku urodziła się i zmarła Marianna Chojnacka. W 1917 urodził się Władysław Krzetkowski i zmarła Balwina Sochańska z d. Krul, l. 48. W tym samym roku, wdowiec Józef Sochański l. 46, bierze ślub z panną Marianą Włodygą l. 30. W 1917 roku rodzi się i umiera Aleksandra Zawadzka, a także umiera Józef Klajn, l. 78, pozostawiając po sobie wdowę Mariannę z Wojcieszaków, umiera też Wanda Ziembicka, dziecko, l. 2 i pół. Rok 1918 przynosi związek małżeński, zawarty pomiędzy Piotrem Biczkiem l. 23 i Marią Aufrechter vel Sochańską i urodziny Wacława Sochańskiego. W 1919 Florian Rosłoniak vel Rosłon, żołnierz z Warszawy l. 21, żeni się z Heleną Ziembicką l. 20. W 1920 roku związek małżeński zawiera wdowiec Paweł Goreń l. 56 i wdowa Józefa Welk, l. 49, rodzi się Helena Sochańska i Andrzej Getner i Tadeusz Ziembicki. W tym samym roku kawaler, żołnierz na urlopie, Mieczysław Różański, l. 20, zawiera małżeństwo z Natalią Ziembicką, l. 23. W 1921 roku urodziła się Wanda Rosłoniak i Władysław Mieczysław Różański. W tym samym roku zostało zawarte małżeństwo pomiędzy praktykantem rolnym, Witoldem Siekierskim, l. 21 i Janiną Walerią Ziembicką l. 21.

Na przestrzeni tych lat w parafii jazgarzewskiej posługę sprawowali księża proboszczowie: Antoni Morski, Wojciech

Zgłeczewski wikariusz, Jan Brauliński, Bonawenura Mietelski, Ludwik Pietrzykowski, Franciszek Kołodzieński wikariusz, Jan Szlązak wikariusz, Jan Sotomski, Jan Szczucki, Józef Szumski, Ludwik Wolski.

Dane dotyczące powstawania wsi Domanka kończą w 1921 r., opierając się na 51 aktach z ksiąg parafialnych parafii Jazgarzew. Rozwój Domanki zaczyna się po kryzysie I wojny światowej. Zaczynają się osiedlać robotnicy najemni, szukający pracy poza rolnictwem. Po II wojnie światowej, Domanka zostaje przyłączona do utworzonego w latach 30-tych, przez Witolda Wislockiego i rozwijającego się, oficerskiego Zalesia Górnego. Będzie to można prześledzić, kiedy zostaną udostępnione dokumenty, dzisiaj chronione przez zapisy RODO.

Te suche dane z aktów przybliżają nam nieco życie mieszkańców w Domance. Nie możemy zapominać o ciężkich czasach w jakich żyli i pracowali: rosyjskiego zaboru i I wojny światowej. W nielekich warunkach rodziły się dzieci i często umierały na choroby, na które nie znano jeszcze skutecznych leków. Życie mieszkańców Domanki nie było więc łatwe, tak jak większości społeczeństwa. Musieli utrzymać się z pracy swoich rąk, z tego co sami wyhodowali albo znaleźli w lesie, bądź mogli kupić u okolicznych gospodarzy. W małej społeczności jakoś musieli sobie radzić, wspierać się wspólnie i ratować w potrzebie, świadczyć w sprawach urzędowych i aktach kościelnych. Na początku XX wieku, Józef Sochański i Adam Zawadzki, byli najczęściej proszonymi osobami do świadczenia wydarzeń w Domance.

Rekrut przechodzący

Kiedy spisywałam dane z aktów, zaintrygował mnie akt zgonu w gajówce Domanka, w 1848 r. młodego chłopaka, o którym wiadano jedynie jak się nazywa i ile ma lat. Jedyną wiadomością dodatkową było to, że był to „rekrut przechodzący”, Alexy Pacholczyk, l. 20. Rodzice i miejsce urodzenia nieznane, zaczęły się więc rodzić pytania. Czy rekrut był już żołnierzem, czy też nie został nim, bo był chory? Czy może został ranny? Skąd pochodził? Czy szedł do, czy też wracał

z Warszawy? Jeśli doszedł do gajówki Domanka, to pewnie znaczy, że szedł z południa lub wracał na południe. Jakie są parafie po drodze, w których można by szukać aktu urodzenia? Przejrzałam Jazgarzew, Pieczyska, Prażmów, Sułkowice, Konary, Jasieniec, Boglewice, Warkę i wreszcie Wrociszew. I nic nie znalazłam. Po kilku latach doświadczeń w szukaniu aktów w księgach parafialnych wiedziałam, że w aktach zdarzają się często pomyłki, gdyż zapisywano nazwiska tak, jak je usłyszano. A tu zgon zgłosili obcy ludzie, nie znający rekruta. Przeglądając wrociszewską parafię zobaczyłam, że występuje tam nazwisko Pacholczak. I wkrótce, szukając w 1828 roku, znalazłam:

Wrociszew U 60/1828

Dn. 10.07.1828 r w kościele we Wrociszewie stawił się Jan Pacholczak, l. 45, gospodarz w Zastrużu, wraz z dwoma świadkami i okazał dziecic płci męskiej, oświadczając, że urodziło się w dn. 09.07.1828 w Zastrużu, z jego małżonki Katarzyny Sewerowicz, l. 34. Dziecku na chrzcie św. dano imię Alexy a rodzicami chrzestnymi byli: Antoni Boroski i Franciszka Szymaniakowa.

Był to więc akt urodzenia Alexa Pacholczaka, naszego rekruta.

Matka, jeśli jeszcze żyła, na próżno wyglądała powrotu syna, bo któż miałby dać znać, że zmarł on po drodze, pośród Lasów Chojnowskich. Umierając w gajowce stał się symbolicznie „nasz”. Zapewne pochowano go na cmentarzu w Jazgarzewie. Ucieszyłam się kiedy, po prawie 200 latach, dzięki dostępnym w Internecie aktom, udało się odnaleźć miejsce urodzenia i imiona rodziców nieznanego młodego chłopaka, świeżo powołanego do wojska rekruta, może jeszcze nie żołnierza. W czasie rozmowy o mieszkańcach dawnej Domanki, pani Teresa Pluta wspomniała o śmierci „żołnierza”, więc ten fakt był jej wcześniej znany. Widocznie ta historia była wtedy ciągle żywa i przekazywana w opowieściach z przeszłości.

Jak napisała Wiesława Szymborska:

Umarłych wieczność dotąd trwa,
Dokąd pamięcią im się płaci.
Chwiejna waluta.
Nie ma dnia
By ktoś wieczności swej nie stracił

Trzeba tę pamięć, może mało ważną, ale naszą, przywracać.

Pamiętam więc z dzieciństwa małą, chylącą się ku ziemi chałupkę „Stasiny”, otoczoną bzami (na działce p. Postków, a wcześniej gospodarza p. Magdziarza z Jesówki), w której mieszkaly 2 staruszki. Owa Stasina, to Stanisława Chojnacka, przygarnięta przez rodzinę Sochańskich, zmarła w wieku 79 lat, 10.06.1966 r. Opiekowała się Marianną Sochańską, z domu Włodyga, II żoną Józefa Sochańskiego, zmarłą 21.09.1960 r. w wieku 72 l. Pomimo trudnych warunków, Sochańscy, dobrzy ludzie, wychowali również dziewczynę zabraną z przytułku Szpitala Dzieciątka Jezus i byli opiekunami aż do jej wyjścia za mąż, dając jej swoje nazwisko. Inne dziecko, również z przytułku, zmarło u nich w dzieciństwie. Ta chałupka, podparta drążkami i kryta strzechą, stała się symbolem Domanki z tamtych czasów. Ale kto to dziś pamięta? Dzisiaj już tylko dzikie bzy przypominają o tamtych czasach, bo uparcie rosną w miejscach dawnych ogródków.

A oto spis mieszkańców Domanki, występujących w aktach od 1845 r. do 1921, w porządku alfabetycznym

Objaśnienia:

U – urodzony, M – małżeństwo, Z – zgon, z d. – z domu.

Albiński Adam, świadek 1874, leśnik
Bekasiewicz Bronisława Z 1915
Biczek Piotr M 1918
Biczek Maria z d. Aufrechter vel Sochańska M 1918
Bielewicz Alexander U 1852
Bielewicz Katarzyna z d. Nazdzier, matka 1852
Bielewicz Maciej, ojciec 1852, wyrobnik
Broszko Julianna U 1861
Broszko Petronella z Żuczków, I v. Maciejewska M 1858, matka 1861
Broszko Szymon M 1858, ojciec 1861, gajowy
Chojnacka Marianna U 1916
Chojnacka Stanisława, matka 1916
Dobrowolski Antoni, świadek 1861, szynkarz,
Fukowska Marianna d. Kowalska Z 1915
Fukowski Walenty, wdowiec 1915
Getner Władysław U 1920
Getner Andrzej, ojciec 1920
Getner Zofia d. Głowińska, matka 1920
Goreń Paweł M 1920
Goreń Józefa, I v. Welk M 1920
Gorzkowska Anna, z d. Należyta, matka 1909
Gorzkowska Jadwiga U 1909
Gorzkowski Julian, świadek i oj. ch. 1909 i ojciec 1909 w 1910 U 221 na Jesówce, kamieniarz
Grzęda Zofia Helena U 1872
Grzęda Bartłomiej, ojciec 1872,
Grzęda Apolonia z d. Gromadzka, matka 1872
Guszkowska Marianna, z d. Augustyniak, żona 1911
Guszkowski Franciszek Z 1911
Kaszyńska Marianna U 1869
Kaszyńska Magdalena z d. Głowacka, matka 1869
Kaszyński Franciszek, ojciec 1869, łowca (strzelec)
Kazana Jan, ojciec 1862, gajowy
Kazana Jan U 1862
Kazana Józefa z d. Masalska, matka 1862
Klajn Józef 1913, wyrobnik, Z 1917
Klajn Marianna z d. Wojcieszek, wdowa 1917
Kobiałka Franciszek 1909, świadek
Kobiałka Marianna, chrzestna 1909,
Krzanoska Rozalia Z 1845
Krzanoska Maryanna z d. Dawonkowska, matka 1945
Krzanoski Franciszek, ojciec 1945, profesji mularskiej, zam. Dumanki
Krzetkowska Józefa z d. Marchlewska, matka 1917
Krzetkowski Ignacy, świadek 1916, ojciec 1917, wyrobnik
Krzetkowski Władysław 1917
Lidke Edward Karol, kawaler, wyrobnik M 1913
Lidke Paulina, matka 1913
Majewska Aniela z d. Sutkowska, matka 1874
Majewski Piotr Jan U 1874
Matulka Jan, ojciec 1892, leśnik
Matulka Katarzyna z d. Domańska, matka 1892
Matulka Walenty U 1892
Ostrowska Antonina, matka 1913

Ostrowska Dorota Lidke, panna M 1913
 Pacholczyk Alexy Z 1848, rekrut przechodzący, prawidłowo
 Pacholczak, l. 20
 Rechnio Franciszek U 1882
 Rechnio Józefa z d. Górecka, matka 1882
 Rechnio Michał, ojciec 1882
 Rosiński Kazimierz Z 1908, 5 miesięcy
 Rosłon Antoni, świadek 1909
 Rosłoniak Helena, z d. Ziembicka, M 1919, matka 1921
 Rosłoniak vel Rosłon Florian, M 1919, ojciec 1921
 Rosłoniak Wanda U 1921
 Różańska Natalia z d. Ziembicka, M 1920, matka 1921
 Różański Mieczysław M 1920, ojciec 1921
 Różański Władysław Mieczysław U 1921
 Rubiś Józef, ojciec 1852, w karczmie zam.
 Rubiś Maryanna ze Smagotskich, matka 1852
 Rubiś Magdalena U 1852
 Siekierska Janina Waleria z d. Ziembicka M 1921
 Siekierski Witold M 1921
 Sochańska Balwina z d. Krul, dziecko na wych. 1908, matka
 1907, 1909, 1912 i 1913, Z 1917
 Sochańska Marianna z d. Włodyga M 1917, matka 1918, 1920
 Sochańska Helena U 1920
 Sochański Antoni U 1909–Z 1912
 Sochański Józef, U 1907
 Sochański Józef, ojciec 1907, 1909, 1912, 1913, 1918, 1920 i świadek
 1908, 1909, 1912, 1913, 1915, 1917, M 1917, 1920, wyrobnik
 Sochański Wacław U 1918
 Welk dziewczynka, martwo urodzone, 1909
 Welk Jan, świadek 1908, 1909, 1912, ojciec 1909, wyrobnik
 Welk Józefa z d. Strawińska, matka 1909
 Zacharski Andrzej, ojciec 1877, trac
 Zacharska Anna z d. Jagoda, matka 1877
 Zacharski Filip U 1877
 Zaręba Marcin U 1889
 Zaręba Antoni, ojciec 1889, wyrobnik
 Zaręba Franciszka z d. Aniszewska, 1889
 Zawadzka Aleksandra U 1917, Z 1917
 Zawadzka Bronisława z d. Bekasiewicz, matka 1915
 Zawadzka Marianna z d. Grebkowicz, matka 1908, 1912,
 1913, 1917
 Zawadzka Stefania U 1913
 Zawadzka Władysława Z 1915
 Zawadzki Adam, świadek 1907, 1908, 1909, 1910, 1915, 1917,
 1918, 1920, 1920, ojciec 1912, 1913, 1915, 1917, leśnik
 Zawadzki Aleksander U 1908 – Z 1912
 Zawadzki Tadeusz U 1912
 Ziembicka Anna U 1912 – Z 1989
 Ziembicka Natalia
 Ziembicka Paulina z d. Gorzkowska, matka 1909, 1912, 1915,
 1917, 1920
 Ziembicka Stanisława U 1909
 Ziembicki Tadeusz U 1920
 Ziembicka Wanda U 1915, Z 1917
 Ziembicki Walery, ojciec 1909, 1912, 1915, 1917, 1920 świadek
 1917, 1911, oj. chrz. 1917
 Złoska Małgorzata z d. Koper 1907
 Złoski Bolesław U 1907
 Złoski Wojciech 1907 ojciec

Wszystkie 51 aktów, na które się powołuję, mogą udostępnić w całości. Od 1868 do 1915 r. akty były pisane po rosyjsku, są więc przetłumaczone przeze mnie z języka rosyjskiego.

Domanka współczesna

Dzisiejsza Domanka zamyka się w prostokącie ulic: Koralowych Dębów, Droga Dzików, Graniczna, Malinowa i obejmuje ponadto ul. Piaseczyńską, Chabrową, Krótką, Środkową, Owsianą i Żytnią. Potomkowie i krewni niektórych rodów mieszkają w Zalesiu do dziś.

Trójkąt, który w 1965 r., powstał z wyprostowania ul. Koralowych Dębów, podzielił zabudowania gajówki, w której mieszkał gajowy Płowik z rodziną. Prostą drogę zawdzięczamy świętowaniu XX-lecia Polski Ludowej. Miejsce to przez wiele lat pozostawało zaniedbanym kawałkiem ziemi u zbiegu ul. Koralowych Dębów, Piaseczyńskiej i Owsianej. 10 lat temu, w rocznicę powstania Domanki, staraniem Krzysztofa Merskiego został uroczystie poświęcony kamień, z białą figurką Matki Bożej Opiekunki Wszystkich Podróżujących. Wkrótce została dołączona druga połówka kamienia, z wrytym wizerunkiem Jana Pawła II. Miejsce to, pośród kwiatów i drzew, stało się nie tylko wizytówką Domanki, ale też przystankiem dla przejeżdżających rowerzystów i spacerowiczów, a także miejscem skłaniającym do zadumy i modlitwy dla mieszkańców.



Fot. Krzysztof Merski

Wesoły Konik

Dokładnie 20 lat temu w kiosku, mieszczącym się wtedy na rogu Koraliowych Dębów i Pionierów, pojawiła się jednostronicowa ciekawostka pod intrygującym tytułem „Zalesie Górne mądre i bzdurne Wydawnictwo Podziemne – dla jednych przy... dla innych nie...przyjemne”, która natychmiast została rozchwytaana przez robiących tam zakupy Zalesian. Teksty były interesujące, krótkie i dowcipne, a czytelników bardzo intrygował podpis: „Wesoły Konik”.

Opowiemy dziś o tym wydawnictwie, przedstawimy nazwiska jego autorów i pokrótce opiszemy historię jego powstania i... zniknięcia.

Jest rok dwutysięczny. Wracający do domu rodowity Zalesianin Krzysztof Wesołowski przypadkiem spotyka spacerującego centralną arterią Zalesia Jana Siwka. Panowie znają się i lubią. W przeszłości ich drogi zawodowe często się krzyżowały (TV, kabaret, sceny studenckie), ale dla obu zaskoczeniem jest miejsce spotkania. Nowicjusz jest zauroczony Zalesiem i planuje przenieść się tutaj, do czego tubylec go zachęca, choć widzi wiele mankamentów w tej miejscowości. Obaj panowie są ludźmi czynu, obaj mają rozwinięty zmysł humoru, lekkie i chętne pióro. Rodzi się pomysł, żeby w sposób elegancki i zabawny obudzić uśpione potencjały naszej wsi. Najpierw powstał pseudonim autorski: Wesoły – od nazwiska Wesołowski i Konik – bo Siwek to maść konia. Teksty są dziełem wspólnym, tworzone czasem z zapisków na strzępkach papieru, a czasem dyktowanym wprost a vista Eli Nowińskiej, skrzętnie wszystko notującej. To ona sklejała luźne uwagi i porządkowała wykrzykiwane nad jej głową nowe teksty. Problem kolportażu rozwiązał się sam – pomogła zaprzyjaźniona pani Kioskarka.

Współpraca znającego realia zalesiańskie Krzysztofa Wesołowskiego z Janem Siwkiem, mającym świeże spojrzenie na Zalesie, zaowocowała ciekawymi obserwacjami opisanymi w „jednokartkowie”. Celem było ukazanie zalet i wad miejscowości, w przekonaniu obu Panów absolutnie wyjątkowej.

Pisemko cieszyło się zainteresowaniem i bywało, że prowokowało czytelników do reagowania.

Pora przedstawić obu autorów. Wesoły – to Krzysztof Wesołowski polonista, dziennikarz, pracownik TVP, realizator programów o zabytkach Śląska, o kradzieżach dzieł sztuki, programów edukacyjnych, historycznych widowisk paradokumentalnych. Zrobił trzy filmy o trenerach kadry narodowej piłki nożnej. Niestety, nie ma go już z nami Krzysztof Wesołowski zmarł w 2013 roku.

Konik – to Jan Kazimierz Siwek – poeta, bajkopisarz, satyryk, autor słuchowisk radiowych (trzydzieści lat współpracy z programem trzecim PR), tekstów piosenek, skeczy kabaretowych, scenariuszy programów telewizyjnych i widowisk teatralnych. Działal w klubach studenckich, laureat konkursów poetyckich. To od niego i Eli Nowińskiej dostałyśmy zachowane w pamięci starego komputera egzemplarze „Wesołego Konika” oraz garść zawartych tu informacji.

Dziękujemy też Grażynie Wesołowskiej za dokumenty, zdjęcia i rys biograficzny jej męża.

Obaj panowie byli pomysłodawcami stworzenia na terenie powiatu piaseczyńskiego lokalnego radia, ale nie udało się tego projektu zrealizować.



Jan Kazimierz Siwek



Krzysztof Wesołowski

Krzysztof i Jan bardzo lubili spacerować. Wędrując w wolnym czasie przez Zalesie, rozmawiając z sąsiadami, czy podpatrując uliczne scenki, mimochodem zbierali materiał do następnych numerów pisemka.

W jednym z pierwszych numerów wymienione są wszystkie sklepy i usługi, których Zalesiu brakuje, miło mi stwierdzić, że większość tych potrzeb została zaspokojona: mamy szeroki wybór lokali gastronomicznych, szewca, punkty krawieckie, pasmanterię, drukarnię i nawet siłownię. Nie zmieniło się podejście władz gminy do naszej wsi – nadal możemy uskarżać się na arogancję, niegospodarność i brak konsultacji społecznych. Doczekał się realizacji pomysł wydrukowania zalesiańskich widokówek i w miarę asfaltowania kolejnych ulic mamy mniej powodów do skarg na kurz i rozlewiska uliczne, choć nadal niejasny jest system kolejności ich odśnieżania. Wciąż szpecą Zalesie „dzikie” reklamy zawieszane i przyklejane na każdym dostępnym murze i drzewie, a i rozwiązania problemu odbioru odpadów są nadal kontrowersyjne.

Warto przypomnieć inicjatywę uhonorowania mieszkańców działających w interesie naszej miejscowości i zasługujących na PLUSY zaproszeniem do Ławy Mędrców, a tych, którzy dosłużyli się MINUSÓW wprowadzenia do Panteonu Niesławy.

„Wesołemu Konikowi” zawdzięczamy wspaniały, jadowicie złośliwy opis kampanii wyborczej w wyborach samorządowych 2002 roku, szkoda, że dziś w Zalesiu nie ma dziennikarstwa tej próby.

To zderzenie indywidualności, zdolności obserwacyjnych i intelektów pozwoliło wychwycić i wyszydzić wady, uhonorować wybitne jednostki, zająć się niedostatkami i dać wizję potrzeb i kierunków rozwoju. „Wesoły Konik” ukazywał się niecałe dwa lata i wydał prawie dwieście numerów. Niestety, obaj panowie byli ludźmi bardzo zajętymi pracą zawodową, ich praca nierzadko wymagała wyjazdów, ciężko było zgrać się i umówić na spotkania. „Wesoły Konik” ukazywał się coraz rzadziej, aż w końcu zamilkł, ale nie pozwólmy mu odejść w zapomnienie.

Mimo upływu czasu wiele konikowych spostrzeżeń jest nadal aktualnych. Proponuję, by potraktować poważnie propozycję Wesołego Konika dotyczące braku niektórych usług, czynnego tępienia śmiejących, czy piętnowania „złosąsiedzkich” zachowań.

Zalesie....Przez dwadzieścia lat – jak wiele i jak niewiele się zmieniło.

Prosimy, jeśli gdzieś zachowały się numery „Wesołego Konika” – udostępnicie je do skopiowania – niech rośnie nam zalesiańskie archiwum.

Ewa Kamińska i Jadwiga Kuźmińska

Człowiek na niepogodę

Wspomnienie o Marioli Molak

24 września 2021 roku odeszła nasza Mariola

Pani Mariola przez wiele lat prowadziła sklep przy ulicy Jesionowej, dobrze знаła mieszkańców osiedla Leśnik i była z nimi zżyta. Na trwale zapisała się w pamięci wielu z nas i trudno nam się pogodzić z jej odejściem.

Maria Jolanta (zwana przez nas Mariolą) Molak, zanim zaczęła pracować w sklepie w Zalesiu na ulicy Jesionowej, pracowała przez cztery lata w nadleśnictwie Chojnów. Zakończyła tę pracę 31 lipca 1990 roku i prawdopodobnie jesienią tego samego roku pojawiła się w Zalesiu. Razem z panem Andrzejem Swatem, z którym pracowała w nadleśnictwie, zaczęła prowadzić sklep. Budynek, który dzierżawili od GS-u z Gołkowa, stał się, ku uciesze okolicznych mieszkańców, naszym sklepem. Na początku pan Andrzej pełnił rolę zaopatrzeniowca, a pani Mariola zajmowała się sprzedażą. Sklep, jak na owe czasy, był bardzo dobrze zaopatrzony. Pan Andrzej przywoził większość produktów, między innymi bardzo dobre mięso z Karczewa, a pani Mariola, która mieszkała w Górze Kalwarii, w drodze do pracy również zaopatrywała się w okolicznych hurtowniach. Wielu mieszkańców tej części Zalesia, zwanej kiedyś „Wyżynami”, zaczęło robić tu zakupy. Szczególnie często odwiedzali sklep rdzenni mieszkańcy, którzy nie jeździli do Warszawy. Była w tym sklepie bardzo przyjazna atmosfera. Pani Mariola była zawsze uśmiechnięta, a pan Andrzej chętnie zbierał od klientów zamówienia, gdy jakiegoś towaru nie było w sklepie. Oboje chcieli, żeby ludzie jak najczęściej przychodzili do sklepu i by byli zadowoleni, więc starali się oferować atrakcyjne produkty.

Z biegiem lat pani Mariola zaskarbiła sobie sympatię wielu klientów. Była osobą niesamowicie życzliwą, komunikatywną i wychodzącą naprzeciw potrzebom mieszkańców Zalesia. Gdy ktoś potrzebował pomocy do domu czy do sprzątnięcia, szukał dobrego hydraulika lub elektryka, osoby udzielającej korepetycji, szedł do pani Marioli. „Była ona dla nas doskonałą skrzynką kontaktową oraz osobą, u której szukało się pomocy i informacji” wspomina jedna z mieszkanki Zalesia. Oto kilka innych wspomnień.

„W 2007 roku spalił mi się dom. Bardzo pomogli mi wtedy wszyscy znajomi Zalesianie. Dom spalił się dość dokładnie, przez długi czas nie mogliśmy w nim mieszkać. Mariolka, gdy tylko wystygły mury, przysłała ekipę dwóch czy trzech ludzi, którzy przywieźli potrzebne materiały budowlane i postawili brakującą ścianę, tak żeby można było ten dom, czy raczej to, co z niego zostało, zamknąć. Po kilku dniach przyszedł do sklepu Mariolki bardzo jej podziękować za przysłanie ekipy i zapłacić za ich robociznę i materiały. Mariolka popatrzyła na mnie i powiedziała „Pani Ewo, ja o niczym nie wiem”. A ja przecież spytałam tych panów, kto ich przysłał i dlaczego, więc wiedziałam, że to ona. Absolutnie

się nie przyznała i uśmiechała się w taki trochę tajemniczy sposób, jakby chciała powiedzieć „nie udowodnisz mi”.

„Byłem wtedy chłopcem, było lato, jechałem rowerem, gdy wpadła mi do ust pszczoła i ukąsiła mnie. Zaczęłem puchnąć i potrzebowałem pomocy. Akurat byłem niedaleko sklepu, więc poszedłem po pomoc do pani Marioli. Ona, widząc co się dzieje, dała mi do ssania natkę pietruszki i dość szybko poczułem się lepiej. Wspominam panią Mariolę jako osobę bardzo serdeczną, pomocną, która zawsze spieszyła z pomocą, gdy zaszła taka potrzeba. Była bardzo dobrym człowiekiem.”

„To były moje pierwsze lata w Zalesiu po tym gdy się tu sprowadziłam. Mieszkały tu na stałe tylko trzy lub cztery osoby, nie było mediów, nie było gazu, nie było wodociągów. Któregoś dnia żaliłam się Marioli, że nie mam butli gazowej na wymianę, a tu już wszystko pozamykane, bo otwarte tylko do czwartej. „A to nie ma problemu, ja mam butlę i pani pożyczę” zareagowała na to Mariola.”

„Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, wszyscy w domu załatwiali choinkę i jakoś wyszło na to, że nikt jej nie załatwił. Poszłam po coś do Marioli i przy okazji skarzę się, że nie mam choinki, a Mariola na to „A wie pani co, ja zaraz zadzwonię do znajomego leśnika.” Zadzwoniła i choinka była.”

„Szukałam kogoś, kto mógłby doprowadzić działkę do porządku i spytałam się Marioli, czy zna kogoś takiego. Ona zaproponowała Maćka, swojego syna, który był świeżo po ukończeniu technikum i próbował sił w tym zawodzie. Powiedziała mi, że Maciek mógłby to zrobić, czyli zaprojektować ogród i posadzić rośliny. I tak też się stało. Maciuś posadził nam wzdłuż płotów tuje oraz świerki i wydaje mi się, że ta praca, którą myśmy mu wtedy dali, zapoczątkowała jego karierę w tym zawodzie – projektowaniu i zakładaniu ogrodów.”

Pani Mariola była bardzo uczynna i życzliwa. „Gdy ktoś był chory i nie mógł przyjść do sklepu, to dzwonił do niej (w sklepie był telefon) i składał zamówienie, a pani Mariola, po zamknięciu sklepu o 18:00, rozwoziła zamówione produkty.”

„Można na nią było liczyć w każdej sytuacji, nie mówiąc już o ludziach, którzy na przykład nie mieli pieniędzy do pierwszego. Można było u Marioli zrobić zakupy na zeszyt, a potem jej zapłacić. Ta jej ogromna życzliwość bardzo jakby osadzała i cementowała mieszkańców tej części Zalesia.”

„Jedno z moich doświadczeń związanych z panią Mariolą miało miejsce, gdy zbierałam w parafii, jeszcze za poprzedniego proboszcza, pieniądze na kwiaty do Grobu Pańskiego. Kiedyś robiła to moja mama, potem pani Burkowa, a w końcu ja to przejęłam. Częściowo ze względów sentymentalnych, ale również dlatego, że nikt inny nie miał na to czasu. Dla

mnie też nie było to łatwe, bo pracowałam, a trzeba było chodzić po domach i zbierać datki. Bardzo pomogła mi wtedy pani Mariola. Zaproponowała, by zostawić u niej w sklepie puszczkę na datki razem z listą. Ona dopilnowała, aby każdy, kto chciał być darczyńcą, wpisał na listę swoje nazwisko i kwotę jaką chciał ofiarować, a pieniądze włożył do puszki. Choć było to dla pani Marioli z pewnością dodatkowe zajęcie, to zrobiła to z wielką przyjemnością, bo taka była – zawsze starająca się pomóc innym. Ludzie mieli różne problemy i przychodzili z nimi do pani Mariol. Nie do sklepu, tylko do niej, na przykład gdy szukali hydraulika lub elektryka albo nauczyciela języków obcych. To był dla wielu z nas najprostszy sposób na uzyskanie informacji – szło się do pani Marioli. I dlatego została ona tak bardzo mocno w naszych sercach i tak było nam jej brak, gdy zamknęła sklep.”

Miała również duże poczucie humoru. Kiedyś, gdy jechała pociągiem, grupa młodych ludzi zachowywała się w sposób skandaliczny. Po pewnym czasie pani Mariola miała już dość ich wulgarного języka i poprosiła, by się uspokoili. Oni wtedy zaczęli ją straszyć mówiąc, że znają członków mafii. A pani Mariola na to: „Tak? A ja mam mafię w domu”. Miała na myśli jednego ze swoich psów, który miał na imię Mafia. Młodzi ludzie bez słowa opuścili pociąg na najbliższej stacji.

Pani Mariola przeżywała z mieszkańcami Zalesia wszystkie radości i smutki. Dla wielu osób sklep pani Marioli był nie tylko miejscem, w którym robiły zakupy, ale również okazją do spotkań innych ludzi i do pogawędki.

„Jak wspomniałam, była dla nas skrzynką kontaktową. Można było u niej zostawić informacje i uzyskać informacje. Wielu mieszkańców nie miało telefonu, ale można było przyjść do sklepu, zostawić informację dla kogoś, a pani Mariola przekazywała ją wskazanej osobie. Był to więc sklep rodzinny, bardzo przyjazny i szczególnie potrzebny osobom starszym, które nie miały możliwości robienia zakupów gdzie indziej.”

„Pani Mariola lubiła swój zawód sprzedawcy, co było widać i czuć. Była uczynna i – można powiedzieć – żyła potrzebami swoich klientów. Denerwowało ją, jeśli spóźniali się dostawcy mleka lub pieczywa. Zakupom u pani Marioli towarzyszył taki swojski, familiarny klimat. Kupujący pogadywali tu, że to i tamto zdrożało, a nie powinno – na Boga – zdrożeć. Że w lesie „wysypały się opieńki” i że ponoć ma być mroźna zima. Nieraz ktoś z kupujących powiedział kawał o teściowej i w sklepie robiło się wesoło i śmiesznie. Chodziło się do sklepu, a mówiło „do Marioli”. Kupowało się to i owo zawsze „u Marioli”, a nie w sklepie.”

Interesowała się życiem mieszkańców Zalesia, bardzo szybko uczyła się ich imion i rodzinnych powiązań, wiedziała o ich upodobaniach, sprowadzała dla nich towary, o które pytali.

„Wspominam panią Mariolę jako osobę szalenie życzliwą. Mówiono o niej, że była bardzo ciekawska. Tak, była. Musiała wszystko wiedzieć. Kiedyś jej współpracownik spytał mnie „Wiesz co się wczoraj stało w Zalesiu?”. „No co?”. „Pogotowie było, a Mariola nie wiedziała”. Taki dowcip; ale ta jej ciekawość przekładała się na to, że mogła i wiedziała komu pomóc. Jeśli ktoś nie przyszedł do sklepu, to Mariola się interesowała dlaczego, czy coś się dzieje, czy pomóc i angażowała młodzież sąsiedzką mówiąc „Wiesz co, idziesz i tam

przechodzisz, zanieś zakupy tej czy tamtej pani.” Gdy się nie udawało, zawoziła zakupy sama.”

„Do mnie na wakacje często przyjeżdżali moi teściowie. Byli tutaj kilka tygodni i teść, który miał swoje przyzwyczajenia, pierwsze co robił to szedł do sklepu Mariolki i zamawiał sobie Tygodnik Powszechny. Parę dni po ich przyjeździe byłam u Mariolki, robiłam normalne zakupy, i słyszę „Pani Ewo, mam dla pana Piotra gazetę”. Ja na to „Dobrze, to ją chętnie wezmę”. Na to pani Mariolka „Ależ nie, on to zamówił dla siebie”. Zdumiewał fakt, że po kilku dniach od przyjazdu teściów Mariolka wiedziała jak teść ma na imię, przesyłała pozdrowienia dla pani Krysi, czyli dla mojej teściowej, a poza tym była bardzo konkretna – skoro pan Piotr sobie zamówił, to niech odbierze sobie sam.”

„Moje pierwsze spotkanie z Mariolką miało miejsce dwa dni po wprowadzeniu się do Zalesia. Po dwóch dniach od wprowadzenia się idę do sklepu i ku mojemu ogromnemu zdziwieniu Mariolka się pyta „Jak się czuje pan Wojtek?”. Skąd ona dowiedziała się, że mój mąż na imię mam Wojtek, nie bardzo wiem. Ale odpowiedziałam, że dobrze, choć byłam bardzo zdziwiona tym, że ledwo pojawiła się nowa twarz w Zalesiu, a Mariolka już wiedziała o całej rodzinie. Mariola była bardzo sympatyczna, wiedziała, że mam troje dzieci, wiedziała jak moje dzieci mają na imię, mimo, że nigdy nie rozmawiałam z nią na ten temat. Zawsze uśmiechnięta, taka kapitalna babka.”

Sklep działał do roku 2012. Zmiany w kraju powodowały, że małe sklepiki, takie jak nasz przy Jesionowej, zaczęły upadać. Coraz trudniej było pani Marioli konkurować z powstałymi sklepami wielkopowierzchniowymi, coraz więcej osób jeździło samochodami i robiło zakupy poza Zalesiem.

„Klientami pozostali głównie stali (i często starsi) mieszkańcy tej części Zalesia, po tej stronie torów. Bo do pewnego stopnia mieszkańcy naszej wsi dzielą się na tych mieszkających przed torami i tych za torami; ci sprzed torów nie odwiedzali sklepu pani Marioli, więc klientów było coraz mniej. Dlatego też pani Mariola sprowadzała coraz mniej towarów, bo już nie było takiego zapotrzebowania jak dawniej. Pomalutku sklepik gasł i w 2012 roku został zamknięty. Dla wielu z nas był to trudny moment. Od tej pory brakowało nam sklepu, jak również pani Marioli.”

„Myśmy byli spokojni i dumni, że mamy coś na własność. Dziwnie to może zabrzmieć, ale była ta Mariola taka nasza mimo, że była z Góry Kalwarii. Ciężko było się z nią rozstawać, bardzo brakowało tego sklepiku jeszcze długo. Myślę, że wszyscy ją zapamiętają jako osobę przede wszystkim szalenie uczynną, otwartą na ludzi, co się dziś bardzo rzadko zdarza. Ona zawsze pozostanie w pamięci, szczególnie w mojej rodzinie, jako człowiek o wyjątkowej życzliwości i taki otwarty na ludzi.”

Mimo zamknięcia sklepu Pani Mariola w dalszym ciągu była związana z Zalesiem. Kontaktowała się telefonicznie z niektórymi mieszkańcami, a gdy jej wnuczki podrosły, przywoziła je na zajęcia plastyczne do pana Zadręga.

„Po zamknięciu sklepu pani Mariola w dalszym ciągu utrzymywała kontakt z niektórymi z nas, myślę że nawet

do swojej śmierci. Mieszkała w Górze Kalwarii przy ulicy Popieluszki 3 i zawsze zapraszała, by ją odwiedzić. Miała przepiękny ogród i psy, których była miłośniczką. Zawsze pamiętała o imieninach, dzwoniła z życzeniami na wszystkie święta, nie tylko do mnie, ale również do wielu osób, które poznała w czasie pracy w sklepie. Gdy podczas naszych rozmów dowiadywała się o różnych tragediach rodzinnych osób jej znanych, zawsze bardzo to przeżywała. Była osobą o wielkim, otwartym sercu i bliskie jej były problemy tutajszych mieszkańców. No bo spędziła w Zalesiu wiele lat i dobrze je wspominała; musiało jej tu być dobrze. Znała tu wiele osób, bo to nasze środowisko nie jest duże i większość z nas robiła u niej zakupy albo szukała pomocy lub informacji."

"Gdy już byłem dorosły i zamieszkałem z rodziną w Zalesiu spotykałem panią Mariolę, gdy przywoziła wnuczkę na zajęcia plastyczne. Zawsze miło było z nią powspominać i porozmawiać o tym, co się dzieje i co się zmieniło w Zalesiu."

Rodzina była bardzo ważna w życiu pani Marioli. Bardzo była dumna ze swoich wnuczek, jak i z syna Maćka. Ciężko przeżyła chorobę i śmierć matki.

"Miała jednego syna, Maćka, którego bardzo kochała. Maciek chodził do technikum rolniczego w Piasecznie i pani Mariola często rozmawiała ze mną o nim, czasami prosząc o radę. Gdy Maciek zaczął prowadzić własną działalność gospodarczą, pani Mariola pomagała mu jak mogła. Kiedyś opowiadała, że zajmowała się ekipą Ukraińców, a gdy jeden z nich uderzył się w oko, pani Mariola jeździła z nim po lekarzach; była bardzo operatywna."

"Pani Mariola ciężko pracowała. Poza pracą w sklepie pomagała synowi, gdy on rozkręcał swój biznes. Gdy on wyjeżdżał w sprawach służbowych, to Mariola musiała zajmować się jego pracownikami i jego sprawami, więc miała na głowie sporo."

"Pani Mariola bardzo cieszyła się z nowonarodzonej wnuczki. Ciągłe akcentowała i powtarzała, że już jest babcią. Jej rozpromieniona radością twarz przygasła, gdy zaczynała mówić o chorej matce, o nieprzespanych nocach. O cierpieniach swej rodzicielki, którą bardzo kochała, opowiadała ze łzami w oczach."

Pani Mariola wniosła bardzo wiele do życia mieszkańców Zalesia. Zostały wspomnienia, smutek i wdzięczność za te lata, które spędziła z nami.

"Ona zawsze pozostanie w pamięci, szczególnie w mojej rodzinie, jako człowiek o wyjątkowej życzliwości i taki otwarty na ludzi."

"Niedawno nadeszła z Góry Kalwarii smutna wiadomość, że pani Mariola nie żyje. Niech Bóg miłosierny otrze Zmarłej łyzi ziemskiego życia i ma Ją w swej opiece na wieczność. Bardzo ją tutaj mile wspominamy i jak tylko odeszła, nie mówię o śmierci, ale gdy odeszła ze sklepu, to się zrobiła taka pustka. Mijało się ten sklep Mariolki, a on stał pusty. Smutno było. Taką naszą ikoną była pani Mariola i ciepło ją wspominam. Miło się ją wspomina i będzie wspominać. Zawsze jak jadę Jesiowową i przejeżdżam koło budynku dawnego sklepu, nawet teraz, gdy jest tam pizzeria, to dla mnie zawsze będzie to Mariolka."

"Mariola była człowiekiem na niepogodę. Jej optymizm zarażał. Kiedy wracałam zmęczona i niekiedy zdołowana z pracy, to wpadałam choć na chwilę do Mariolki. Było od razu lżej. Była dzienna prasówka z życia Zalesia, inteligentny komentarz i często kupa śmiechu. Biła od niej radość życia. Kochała je i kochała ludzi. Mariola nie była obojętna. Angażowała się w czyjeś kłopoty i pomagała z całych swoich sił. Zawsze będę Jej wdzięczna za serdeczną pomoc, jaką zawsze niosła mojej Mamie. Mogłam być spokojniejsza, kiedy nie mogłam na czas dojechać z Warszawy do Zalesia. Wiedziałam, że leki i chleb dotrą na czas. Dziękuję Ci kochana Mariolu za wszystko. To zaszczyt dla mnie, że mogłam mówić Ci po imieniu."

Opracowała,
na podstawie wspomnień, Barbara Migaj

Narracja została w większości oparta na informacjach udostępnionych przez Barbarę Byszko.

Wspominali: Barbara Byszko, Tomasz Chmielewski, Mirka Jaworska, Ewa Kamińska, Magda Mikołajczak-Olszewska, Ewa Molenda-Stroińska, Zalesianin.



Syrenka moja miłość

W cyklu „Historie odnalezione” po raz pierwszy pojawia się historia, która nie tylko opisuje przeszłe wydarzenia, ale wybiega też w przyszłość

Usłyszaliśmy, że w Zalesiu będzie pierwsze prywatne muzeum. Żeby dowiedzieć się więcej i móc Wam o tym opowiedzieć, posłaliśmy na ulicę Leśnych Boginek do państwa Brzozowskich. To ci państwo, których zabytkowe samochody z żółtymi tablicami rejestracyjnymi często jeżdżą po naszych uliczkach. Kiedy przekroczyliśmy bramę, zaskoczył nas ład na podwórku – żadnych walających się detek, zardzewiałych błotników i innych kawałów żelastwa. Zobaczyliśmy romantyczny stolik z siedziskami wśród kwiatów, a dalej osłonięte wiatami liczne pojazdy z lat 50-tych, 60-tych i 70-tych. Gospodarze przyjęli nas w garażu, w którym ściany wytapetowane są zabytkowymi i zagranicznymi tablicami rejestracyjnymi.

Usiadliśmy z panem Wojciechem Brzozowskim nieopodal malucha i syreny R-20. To właśnie te dwa legendarne samochody z polskich ulic są zaczątkiem ekspozycji „Muzeum Techniki im. Władysława Drybsa – Wojciech, Radek i Stefan Brzozowscy”. To będzie prywatne muzeum, dopiero je organizujemy, dlatego nie ma jeszcze ekspozycji – powiedział Pan Wojtek.

Wojciech Brzozowski wspomina: – Mój teść, Władysław Drybs, pracował przed wojną w polskich zakładach inżynierii motoryzacji i był konstruktorem wojskowych podwozi samochodowych. Po wojnie pracował w Przemysłowym Instytucie Motoryzacji i swoimi czasy był na kontrakcie w Czechosłowacji, też oczywiście, w branży motoryzacyjnej. Mój syn – Radek chce tym muzeum uhonorować pamięć świętej pamięci dziadka i dlatego będzie ono nosić jego imię. Liczymy, że męskie tra-



dycje rodzinne będą kontynuowane. Marzymy, by syn Radka, siedmioletni Stefan, także połknął bakcyła motoryzacji.

Ewa Kamińska – Gdzie mieści się muzeum?

– Tutaj!

Ewa Kamińska i Nina Wierzbicka: – To my jesteśmy w muzeum!

– Nie mogłyśmy się od tego okrzyku powstrzymać.



Wojciech Brzozowski

– Jak to się stało, że zamieszkaliście w Zalesiu?
 – Moi teściowie, państwo Drybrowie, od lat 50 mieli tutaj działkę. Uznaliśmy, że w Zalesiu będzie nam lepiej niż w Warszawie.

– A skąd to zainteresowanie motoryzacją?

– Mój wujek, miał mercedesa, starego oczywiście, a ja byłem często przez niego wożony. Miałem wtedy gdzieś 4–5 lat. Wuj sadzał mnie nieraz na kolanach i tak wjeżdżaliśmy do garażu. Niepokoiło mnie to, że sam nie mogę kierować, myślałem, że to jakaś tajemna siła decyduje o tym, gdzie samochód ma jechać. Mercedes był mocno sfatygowany i wuj zmienił go na lepszy samochód, czyli na syrenę. Rodzice też kupili syrenę. I to były dwie pierwsze syreny w rodzinie.

– Moja pierwsza syrenka jest bardzo ściśle związana z Zalesiem. Tę syrenkę miał pan inżynier Przemysław Sobolewski, wujek mojej żony. On nie jeździł tym autem, bo były z nim problemy. W tym czasie miałem poloneza na zbyciu i zamieniliśmy się. On był szczęśliwy, bo polonez jeździł. Syrenę naprawiłem, miała uszkodzoną uszczelkę pod głowicą. Ten samochód nadal jest sprawny! I jeździ! Radek, mój syn, też uległ fascynacji syrenką. Za pierwsze zarobione 100 zł stał się posiadaczem brązowej syrenki. Jeździł nią po grządkach na działce, bo nie miał prawa jazdy, na tym gracie zaczął naukę jazdy. Miał wtedy 13 lat i za najważniejszą lekturę życia uważał „Sam naprawiam samochód syrena”.



Radek Brzozowski

– Skąd u Was te umiejętności?

– Obaj jesteście samoukami, ja jestem raczej teoretykiem, syn jest praktykiem. Mamy też małego pomocnika – Stefanek chętnie nam pomaga.

– Samochody – to Wasz zawód czy pasja?

– Nie, to nie zawód. Ja jestem inżynierem elektrykiem i nadal pracuję na etacie. Radek ma zupełnie inne wykształcenie, teraz pracuje jako animator kultury.

– Zaczęliście od dwusuwów...

– Tak. To jest następna historia, o której chętnie opowiem. Rodzice po syrence mieli wartburga. Ja tym samochodem nauczyłem się jeździć. Miałem do niego bardzo duży sentyment, niestety, po wielu latach rodzice sprzedali ten samochód. Pragnąłem mieć znów taki sam.

– Ktoregoś wieczora Radek wołał mnie do komputera.

– Pali się? Nie, gorzej! Lecę! Objawił się w Łodzi taki sam wartburg, w takim samym kolorze, identyczny, w tej samej wersji! I cena przystępna! Długo się nie zastanawialiśmy. Wy-

najeliśmy lawetę i pojechaliśmy. Silnik był zabity na kamień, ale i tak go kupiliśmy. Syn wymienił silnik i wartburg zaczął żyć!

– Rozumiem, że macie do swoich samochodów stosunek emocjonalny.

– Tak. Chętnie je udostępniamy, ale muszą być traktowane z szacunkiem.

– Kto jest tu kierownikiem?

– Radek, choć działamy wspólnie. Razem podejmujemy najważniejsze decyzje.

Porozmawiamy teraz z kierownikiem.

Spotkanie z Radkiem Brzozowskim

– Kim jesteś z zawodu?

Radek Brzozowski: Mam wykształcenie techniczne i menadżerskie. W tej chwili, żeby móc wieczorami dłużej w samochodach, pracuję jako animator kultury.

– Kiedy odkryłeś swoją pasję do samochodów?

– Zaczęło się w wieku trzynastu lat. Swoją pierwszą syreną jeździłem przez całe wakacje po przydomowym podwórku. Kupiłem ją za pierwsze, własne zarobione pieniądze i wyremontowałem.

– Czy używasz starych samochodów na co dzień?

– Tak, ale nie ma już tak naprawdę dróg dla takich samochodów, jadą wolno i mają dłuższą drogę hamowania. Muszę szczególnie uważać na drodze, bo są kierowcy, którzy widząc mnie w takim samochodzie, zajeżdżają drogę. Jest to kłopotliwe, dlatego wybieram mniejsze miasteczka i boczne drogi pozamiejskie. Wtedy można korzystać z radości eksploatacji takiego samochodu.

– Gdzie i jak je znajdujecie?

– Samochody przychodzą do nas same (Radek się uśmiecha). Jedną zastawę, w stanie perfekcyjnym, sam zobaczyłem, jadąc w delegację do Radomia. Na wjeździe do miasta przemknął mi jakieś taki

korallowy ciekawy kształt, pojechałem za nim. I złożyłem ofertę właścicielowi. Po miesiącu zadzwonił do mnie i powiedział, że się zgadza i... pojechaliśmy ją kupić. Mamy zastawę w stanie przepięknym i dbamy o nią. Dlatego nie chcę nią jeździć, chcę kupić kolejną, a tamta powinna stać i cieszyć oko.

Ostatnio kupiłem od straży pożarnej ciężarowego opła blitza z lat 70 z wyposażeniem. Wóz strażacki z pompą na silniku syreny, niemiecki. Mam słabość do samochodów, które znajdują mnie.

Mikrusa, którego teraz montowałem, też mam od dwóch i pół roku. To jest już mój trzeci mikrus, ale pierwszy w pełni oryginalny. Nadwozie jako tako się trzymało, natomiast wszystkie części były w wiaderkach i w kartonach. Tata był przerażony, ale ja widziałem cel i czułem, że się uda. I rzeczywiście. Oczywiście pomagał mi zaprzyjaźniony tokarz w Chojnowie, który dorobił elementy. Silnik kupiłem identyczny jak polski, ale niemiecki, ponieważ jest lepszy. Dzięki temu mogę teraz wziąć rodzinę i pojeździć cały dzień tym samochodem i nie martwić się, czy wrócimy do domu.



Był to jeden z moich wymarzonych samochodów. Nie zawiodł mnie. Marzyłem też o saabie, który niestety mnie rozczarował. Mam motorower z 1941 roku, który wcześniej wisiał u wujka na ścianie w warsztacie. Bardzo chciałem go mieć. Jakoś udało mi się go zarejestrować, ma aktualne badanie techniczne i oczywiście jest sprawny, ale uwaga: można się przestraszyć, widząc go, ponieważ nie odmalowałem go.

– Skąd bierzecie opony?

– Zewsząd. Na przykład współczesne opony do mikrusa kupiłem w hurtowni w Toruniu, która zamówiła je w Danii, a produkowane były na Sri Lance. Czyli zbieramy części do tych pojazdów z całego świata.

– Wyrobiliście sobie markę....

– Decyzja o założeniu naszego Muzeum Techniki została podpisana przez pana mi//nistra Glišńskiego. Jest to muzeum w przygotowaniu. Mój tata za rok idzie na emeryturę i mógłby zostać kustoszem tego muzeum. Jest problem z lokalem, bo garaż, w którym znajduje się część eksponatów wykorzystujemy do prac remontowych przy samochodach.

Często już teraz przychodzą do mnie rodzice z mniejszymi i większymi dziećmi, żeby dotknąć, przejechać się, posłuchać samochodu i o samochodzie. Więc muzeum właściwie działa.

Nasze samochody, w ten sposób już żyją.

Ja na przykład na codzień jeżdżę wyłącznie "antycznymi" samochodami. Najchętniej dwusuwami z demoludów.

Nasz najstarszy samochód to fiat 508 z 1937 roku, a najmłodszy to strażacki żuk z 1996. Ten żuk jest ulubieńcem mojej pięcioletniej córki Jagody, bo w przedszkolu jest w grupie Żuczków i oczywiście też interesują ją samochody.

– Czy poczyniłeś jakieś kroki żeby gmina dała ci miejsce na to muzeum?

– Wstępnie rozmawiałem z władzami, ale brakuje odpowiedniego lokalu. Oraz solidnego biznesplanu.

– Czy te samochody na siebie zarabiają?

– Trochę tak, jeżdżą na pokazy, inscenizacje, rajdy.

Dwukrotnie, my i nasze samochody, brałismy udział w Nocy Muzeów w Piasecznie. Opowiadaliśmy o samochodach, demonstrowaliśmy ich wnętrza i silniki. Było ogromne zainteresowanie.

Organizuję rajdy turystyczne np. Rajd Pałacowy, gdy w 30 antycznych samochodach z elegancko ubranymi pasażerami i kierowcami zwiedzamy polskie pałace. Jednak największym wyzwaniem jest udział naszych samochodów w filmach. Grały w „Idzie”, „Hiacyncie”, „Żeby nie było śladów”, „Bo we mnie jest seks”, „Stulecie Winnych” i w wielu innych. Na niektóre plany filmowe przyjeżdżaliśmy „na kołach”, a nie na lawecie, z czego jesteśmy dumni.

– Dlaczego syrenę nazywano skarpetą?

– Po pierwsze zapach, a po drugie należy pamiętać, że kiedyś te samochody były naprawiane metodami domowymi czyli za pomocą wiertarki, nitownicy, łatki. Wyglądało to jak połatane skarpety, bo kiedyś skarpetki się cerowało. Syrena ma jeszcze jedną nazwę „Królowa Poboczy”. (śmiech)

– Czy interesują Cię rekwizyty, które dopełniają wygląd starego samochodu?

– O tak, np. mój sąsiad, pan Witek, z sympatią odnoszący się do mojej pasji, wynajduje mi różne elementy z epoki, stare klucze, jakieś części..

Od niego dostałem pieska kiwającego głową – maskotkę na tylną szybę, któremu świecą się oczka, gdy zmieniam pas ruchu, a język wysuwa się po naciśnięciu hamulca.

– Widzę, że Stefan jest żywo zainteresowany Waszą pasją.

– Syn obserwuje, co robimy, podaje narzędzia, młotek albo klucz i też ceni to co stare. Na zakończenie roku szkolnego pojechał rowerem, na którym ja jeździłem jako dziecko. Jest to odremontowany przez nas rowerek reksio. Nawet nalepki udało się odtworzyć, żeby wyglądał tak jak dawniej i mimo że syn ma rower, zwykły górski, ale dla niego było bardzo ważne, pojechać i się pochwalić.

– Jak to jest kiedy sprzedajesz samochód?

– Nie lubię sprzedawać swoich samochodów, ale jeśli to robię, to troszczę się, żeby trafiły w „dobre ręce”. Jedyne samochód, którego nigdy nie sprzedam, to pierwsza, rodzinna syrenka. Ona jest podstawą naszej kolekcji.

– Czym jeszcze możesz się pochwalić?

– Na złocie syren w Cieszynie, na który pojechaliśmy z dwójką małych dzieci, Jagoda zdobyła nagrodę jako najmłodszy uczestnik (miała wtedy niecałe 10 miesięcy)! Dwa lata temu wraz z tatą pojechaliśmy warszawą kombi do Rumunii i nawet wróciliśmy! W tym roku wygrałem swoją kategorię na rajdzie motorowerów PRL jadąc na motorynce pony z 1984 roku. Aktualnie współtworzę czasopismo „Auto Świat Classic”.

Dziękujemy za spotkania i życzymy Wam realizacji wszystkich motoryzacyjnych marzeń

Ewa Kamińska, Nina Wierzbicka

Zdjęcia pochodzą z archiwum rodzinnego państwa Brzozowskich